ROZMAITOŚCI.

Dnia 1. Lipca. № 26. Roku 1857.

DZIEJE ROŚLIN.

Mają i rośliny swe dzieje: kolejom losu ulegają równie plemionom zwierzęcym i ludzkim, równie jak wszystko pod słońcem.

Geologowie prawią jakie tu przed laty bywały zwierzęta, jakim przemianom ziemia ulegać musiała i ulegała, nim przyszło do wytępienia tego co rozum tylko z domysłu po szczątkach przedpotopowych rozpoznaje. Stare kroniki zapisały porę kiedy gdzie poległ ostatni niedźwiedź albo wilk ostatni; pisma świadczą jak królestwo drapieżnych zwierząt nieznacznie wątleje, i przepowiedzieć niemal jesteśmy w stanie, kiedy przemocy człowieka zupełnie ulegnie. Nie długo, a bobrom nie stanie wybrzeży wodnych w Ameryce, wyniosą się lub zatracą jak zatraciły na stawiszczach grodeckich. Nie dożyje pewnie dwudziestego stulecia i bawół amerykański, wygubi go strzała Indyana i strzelba myśliwców nowego świata; już nawet teraz zmalały stada prawie z plemionami Indyan których były żywiołem. A wieloryb? niegdyś za Rzymian stały mieszkaniec śródziemnego morza, dziś gość i to rzadki na całym oceanie, zacisnął się w morza podbiegunowe. Sam łosoś zaumiera, i śledź — Holendrzy skarżą się że go ubywa, i że połów jego teraz nigdy tak bogatym jak bywał wiek temu.

Jak zwierzęta i ludzie, podobnie i rośliny mają dzieje żywota swego obecne, mają dzieje przeszłości swojej. Jak tamci, wiodą i one między sobą zawzięte wojny; mocniejszy pochłania słabszego, a zwyciężony ustępuje dziedzinę swoją zwycięzcy. Sami patrzymy jak las dębowy, gdy w siłę porośnie, zagłusza wszelką drobniejszą latorośl i przed napaścią obrzeża się cierniskiem. Zapalczywości wojen roślinnych nic podobnego; u zwierząt walki bywają przygodne, ale między roślinami nigdy nie ustają, trwają do zgonu jednej albo drugiej rodziny. Zwycięzca w królestwie roślinnem, jak dzicz co państwo rzymskie zalała, wyplenia nieprzyjaźny sobie rodzaj na zawsze. Wyspa Ś. Heleny miała do niedawna swoją właściwą florę; dziś ta flora wymiera, bo zkąd inąd świeżo zaprowadzone rośliny bujniej się krzewią i zagłuszają krajowe. A nieprzyjaciel krajowca najsroższy okazał się w Akacyi tak zwanej *longifolia* z Australii; przy niej wionie wszystka zieleń na Ś. Helenie. Wiemy że nasz Oset dopiero z Hiszpanami zawitał na pola amerykańskie; dziś ten oset rozsypał się po pampach południowej Ameryki że od niego nawet chów owiec ucierpiał. A bardzo świeży przykład mamy z Anglii. W roku 1841 dostrzeżono na sadzawkach tak zwaną *Anacharis alsinastrum*, odtąd tak się rozpleniła, że niesłychane szkody powyrządzała na wszystkich kanałach i wodach stojących.

Inne gatunki roślin jakby prężone potęgą wyższą, przerzucają się w kształty odmienniejsze, rozwijają się cudnie, i występują w postaciach niepodobnych do braci dziko rosnącej, albo przybierają własności nieznanych. Nasza trześń przesadzona w góry na wyspie Cejlonu, nie traci nigdy liścia, i wiecznie stoi zielona. Często i pielgrzymują rośliny, bądź polubownie bądź z umysłu stają w odległych, nawet zamorskich stronach, goszczą i osiedlają się.

Co większa przytem, że często i bardzo często bywają rośliny zwiestnikami cywiljzacyi rodu ludzkiego, i w dziejach jego tworzą nowy stan rzeczy. Ździoblo z jednego ziarna pszenicy przetrzebiło odwieczne lasy; przed niem puszcze rozśmiały się, a klimat w inną się szatę przyodział. Przed wszechmocnością ziarna pszenicy pierzchnął zwierz rogaty i kosmaty, ustąpiły ludy łowieckie, i zostawiły wiotkiemu zdziebłu państwo udzielne i samowładne. A luboć samo przybyszem tylko na naszej ćwierć kuli ziemskiej, wkrótce wzmogło się w potęgę, tak że ojcowie nasi zawrzeć z niem musieli przymierze nierozdzielnej przyjaźni, a nadto przejąć się łagodnością pożycia z niem wzajemnego. Odtąd towarzyszy ziarno pszenicy żeglarzom po wszystkich morzach, przysłuża się nowym odkryciom, utrwala nowe osady, wielkie mia-

sta buduje i cuda w cywilizacyi wytwarza. A przecież i to ziarno, jak wielu twierdzi, przechodziło rozmaite koleje historyczne, nim go się ludzie dohodowali, nim sztucznym chowem podsilili jego żywotną siłę.

Kiedy więc dzieje świata roślinnego tak ściśle z nami są zespolone, i tak nas blisko obchodzą, godziłoby się mieć kronikę takich wypadków, a oraz i chronologię czasu w którym się owe wypadki wydarzyły. Zobowiąże nas kto pierwszy zbierze materyały do takich dziejów, a świat uczony powita w nim założyciela nowej umiejętności.

Słusznie zatem głośnem staje się imię młodego Alfonsa de Candolle, którego dzieło *„Géographie botanique raisonnée“* (Paris 1855. 2 vol.) zwróciło uwagę Francyi i całej Europy.

Ale gdzie początek dziejom roślin? historya ich powinna by się zaczynać równocześnie z onych stworzeniem. Lecz iż nie było kogo co by to widział, musi rozum ludzki własnym domysłem śledzić jakim trybem, jakim sposobem popowstawały rozmaite roślin rodzaje.

Przy tem badaniu wpadają uczeni na dwie ostateczności. Jedni utrzymują że wszystkie rośliny powstały i porodziły się z jednego kulca; drudzy zaś dowodzą przeciwnie, że kulce w zarodzie swoim już były między sobą różne i odmienne, z nich też powychodziły osobne rodzaje.

Nie zbywa ani jednym ani drugim na dowcipnych dowodach ku poparciu teoryi swoich; a dodać winniśmy że długi czas bawili się ludzie tą teoryą co utrzymuje, że świat się rozwinął z jednego kulca; dopiero de Candolle swym historycznym wywodem botaniki zbił to mniemanie. Nie uczynił on wprawdzie przez to teoryę zrozumialszą, ale poskromił zapędy imaginacyi, i zbliżył myśl ludzką do rzeczywistości.

P. Candolle mówi: nie w tem dziwo żeby miało powstać 10,000 gatunków roślin z jednego kulca i o jednym czasie, ale dziwo w tem że są gatunki i rodzaje roślin stateczne i trwałe. Z pożytkiem będzie dla świata wiedzieć gdzie tych rodzajów pierwotne były siedliska, gdzie ta roślina jest samosiewną, i jakie koleje przechodziła nim się wnarodowiła w dzisiejszą swoją ojczyznę. Sprawdzić to może tylko biegły znawca dziejów ludzkości, przytem linguista rozsądny, ażeby poznać zkąd ma nazwisko.

Z szerokich jego rozpraw podamy w treści wywód historyczny znajomych nam roślin.

JENERAŁA GORDONA PAMIĘTNIK

o pobycie w Polsce od r. 1651 do r. 1661,

przez

W. Łoz.

(Dokończenie.)

X.

Przygody w marszu.

Po uśmierzeniu i skarceniu rozruchu w szeregach, musiałem chcąc nie chcąc prowadzić dalej dotychczasowe życie koczownicze i tułać się nieprzerwanie z miejsca na miejsce.

Minawszy Opatów, zwróciłem się ku pewnemu małemu miasteczku w pobliżu, ztamtąd udałem się do Szydłowca i Tyńca, a w dwa czy trzy tygodnie stanąłem pod Skrzynną, gdzie właśnie odbywał się głośny w tych stronach jarmark.

Spodziewałem się, że o takiej porze ulękną się mieszczanie przechodu i hojnym okupem zechcą uwolnić się od niedogodnych gości.

Ku memu największemu zdziwieniu donieśli mi kwatermistrze, że tak burmistrz jak i sami mieszczanie nie dadzą sobie ani mówić o jakimkolwiek okupie, ufając zapewne w nieliczną załogę zbrojną, sprowadzoną do miasta dla utrzymania porządku podczas jarmarku.

W pierwszej chwili chciałem już odciągnąć z dobrej woli, lękając się nowych zajść i nieprzyjemności, lecz naradziwszy się pokrótce z porucznikiem Williamem Guild, powziąłem niebawem zamiar przeciwny, i pomaszerowałem wprost na miasto.

Tuż pod samem przedmieściem spotkaliśmy się z nielicznym hufcem jeźdźców, wyszłym na nasze przyjęcię.

Dowódzca, chłop silny i barczysty, chciał zastraszyć mię swoją miną gęstą i tonem zuchwałym.

— „Pocoto waszmość ciągniesz do miasteczka?“ — zapytał mię wyzywająco. — „A nie wieszto że jesteśmy właśnie wpośród jarmarku.“

— „Nie obchodzi mnie to bynajmniej“ — odpowiedziałem. — „Przybywam do Skrzynnej,

bo leży mi po drodze i potrzebuję wczasu dla siebie i żołnierzy.“

— „A gdybyśmy waszmościom zabronili wstępu?“ — pytał mię dalej.

— „W takim razie przypisalibyście sobie sami zgubne następstwa podobnego kroku“ — odpowiedziałem spokojnie. — „Nie ustąpię pewnie przed żadnem niebezpieczeństwem, i nie ulęknę się niczyjej groźby.“

I niezważając dalej na miejskich wysłańców i ich przechwałki, wkroczyłem do miasteczka. Dopieroż pofrasowali się mieszkańcy, i nuż słać do mnie posły, abym zgodził się na okup bądź w pieniądzach bądź żywności.

Nie byłem od tego, to też nietrudno przyszło do zgody pomiędzy nami, a po kilkogodzinnym wypoczynku, wyruszyłem jeszcze tegosamego dnia ze Skrzynnej.

Przy wyjściu z miasteczka otrzymałem niespodziewanie pożądaną wiadomość, że hetman, którego gońcy moi napróżno szukali w Gdańsku i po całych Prusiech, przybył temi dniami do Piotrkowa.

Ucieszyło mię niesłychanie podobne doniesienie, miałem już bowiem nadzieję wypocząć na koniec po tylu trudach i przygodach.

Pozostawiając dowództwo w ręku porucznika Williama Guild, wyjechałem sam na spotkanie Lubomirskiego. Aby jaknajprędzej zasięgnąć upragnionych rozkazów co do leż zimowych, jechałem noc całą bez wypoczynku, a z brzaskiem dnia stanąłem pod małym laskiem niespełna o trzy mile od Piotrkowa. Któż sobie jednak wyobrazi moje podziwienie, gdy o tak rannej porze spostrzegłem przed sobą szczupły hufiec jeźdźców, a na ich czele samego Lubomirskiego.

Wyjechał on na łowy z kilką swoich dworzan, a szczęśliwym trafem spotkaliśmy się prędzej, niż się spodziewałem.

Na mój widok przytrzymał hetman konia, a wpatrując się bystro w twarz moją, zdawał się własnym nie dowierzać oczom.

— „A waszmość się zkąd tu wziąłeś?“ — zapytał mię nagle, gdy z nizkim ukłonem zbliżyłem się ku niemu.

Potrzeba mu było opowiedzieć rzecz całą od końca do końca. Hetman uśmiał się z mego położenia i moich licznych przygod w marszu, a potem poklepał mię łaskawie po ramieniu, i rzekł z zwyczajną sobie uprzejmością:

— „Musisz waszmość zostać dziś u mnie na obiedzie, choć jak zwykle w marszu nie najlepszem będę cię mógł uraczyć jedzeniem.“

Podziękowawszy z całego serca za tyle łaskawości, przyłączyłem się do orszaku hetmana, i udałem się z nim do Piotrkowa.

Przez całą drogę rozmawiał on ze mną z wielką uprzejmością, a nawet przy obiedzie zagadywał mię często różnemi pytaniami, i wyrażał się z wielką pochwałą o każdym kroku, podjętym w tak długim i ciężkim marszu.

Po obiedzie kazał mi wrócić do kompanii i przybyć z nią razem do Dąbrowy, gdzie miał odbyć przegląd kilku swoich pułków nadwornych.

Z okolic Piotrkowa do Dąbrowy była dość spora przestrzeń, nie w jednym też dniu mogłem stanąć u kresu. Wszakże przybycie hetmana zażegnało wszelką niechęć żołnienierzy. Z pokrzepioną odwagą wyruszyliśmy pospiesznym marszem na miejsce przeznaczenia.

Po drodze nie omijały nas nowe rozliczne przygody. Na pierwszym zaraz noclegu wszczęła się kłótnia między moim podporucznikiem a dziedzicem zajętego przez nas sioła. Dziedzic imieniem Wilczycki posiadał niezwyczajną zręczność w władaniu bronią, to też po pierwszem zaraz słowie zelżywem ze strony podporucznika wyzwał go na pojedynek, i ranił dość niebezpiecznie.

Nie dość mu było na tym sukcesie, chciał koniecznie sprobować się jeszcze i ze mną. Napróżno omijałem wszelkiej z nim kłótni, znalazł on przecie powody do nowego pojedynku i przysłał mi wyzwanie. Mimo najszczerszej chęci nie mogłem jednak odpowiedzieć jego żądaniu i zmierzyć się z nim w walce otwartej; mając bowiem przedstawić wkrótce hetmanowi uformowaną mojem staraniem kompanię, poczytałem za istne szaleństwo narażać życie bez potrzeby. Sama już rana mogła mię pozbawić wszelkich korzyści z mojej służby dotychczasowej, bo nie umiałbym w takim razie na czas przeglądu zdążyć do Dąbrowy, a temsamem ściągnąłbym sobie niechęć lub nawet podejrzenie Lubomirskiego.

Bez wszelkiego wahania i skrupułu odpowiedziałem tedy Wilczyckiemu, iż położenie moje nie dozwala mi w tej chwili dać mu żądane zadosyćuczynienie, i dopiero po kilku tygodniach mógłbym stawić się na jego rozkazy.

*

Szlachcic zapłonął srogim gniewem, i groził zbezcześcić mię w obliczu całej kompanii. Snać jednak dość wcześnie opamiętał się w zapędzie i rozważył niebezpieczeństwo podobnego kroku, gdyż podczas naszego odchodu nie pokazał się nawet na ganku.

O dwie czy trzy mile za jego siołem czekał mię za to o wiele dotkliwszy przypadek. Jakiś konny hufiec komputowego wojska polskiego natrafił na moje wozy transportowe, wysłane przodem, i uprowadził mi przemocą wszystkie konie. Napróżno starałem się dopędzić zuchwalców. Mając pod sobą dobre bieguny, uszli z łatwością mojej pogoni, a ja musiałem radzić sobie wszelkiemi sposobami, aby jakotako dowlec się do Dąbrowy.

XI.

Ostateczna zmiana losu.

Po wielu jeszcze innych pomniejszych przygodach w podróży stanąłem wreście w Dąbrowie, gdzie czekały już inne oddziały nadwornego wojska Lubomirskiego.

Zacny i dostojny ten pan przyjął mię z wielką łaskawością, i wyraził się bardzo pochwalnie o całej mojej kompanii, która rzeczywiście składała się z samych ludzi dorodnych, i jaknajlepiej była uzbrojoną i uekwipowaną.

Hojnym też darem nagrodził nam wszystkim długie i ciężkie marsze, podejmowane bez potrzeby po całym kraju, a zaopatrzywszy nas jeszcze w wszelką niedostającą broń, wysłał napowrót do Starego Sącza, gdzie po odejściu kozaków wielkiego hetmana Potockiego przygotowano już dla nas stałe kwatery zimowe.

Przyznam się że lubo łaskawość i uprzejmość Lubomirskiego niezmiernie mię ujęła, toć zawsze tak długa podróż nowa nie najlepszą przejmowała mię otuchą. Wszyscy byliśmy tego mniemania, że uwzględniając nasz poprzedni nieszczęsny przypadek, uwolni nas już hetman od powtórnej podróży do Starego Sącza.

Zawiedzeni w naszych nadziejach, musieliśmy po kilku dniach opuścić Dąbrowę, i znaną nam już aż nazbyt dobrze drogą wlec się pod Karpaty.

W drodze domagali się żołnierze wszelkiemi siłami, abym zboczył do Michałowa i pomścił doznanej przedtem krzywdy.

Niewieleby mi to było kosztowało trudu mając przeszło 200 żołnierzy pod mojemi rozkazami, i będąc zaledwie pół mili oddalony od sioła; ale powstrzymywała mię obawa, aby żołnierze moi rozpasawszy się raz do jakiejś samowolności, nie dopuścili się zanadto zdrożnych i gwałtownych kroków.

Odrzucając też stanowczo wszelkie prośby i naleganie chciwego zemsty żołdactwa, ominąłem umyślnie Michałów, i utrzymałem całą kompanię w karbach porządku i rygoru.

Dzięki wielu sprzyjającym okolicznościom przybyliśmy nad spodziw szczęśliwie na miejsce naszego przeznaczenia. Wszakże zaledwie tylko rozłożyliśmy się w obozach, gdy wtem przybył goniec od Lubomirskiego, wzywając nas pod broń do wojny z Rosyą.

Nie wypocząwszy nawet całego miesiąca w Sączu, musieliśmy z największym pospiechem maszerować do Warszawy i przyłączyć się do armii Lubomirskiego.

Pod jogoto buławą wziąłem udział w całej wojnie moskiewskiej i kozackiej, toczonej z wielką zawziętością wzajemną, a w końcu z nieprzewidzianem dla Polaków szczęściem.

Jużto waleczność i wojenny jeniusz Czarnieckiego a niedołęztwo wodzów nieprzyjacielskich przyczyniło się najwięcej do tryumfów polskiego oręża.

Uczestnicząc we wszystkich prawie bitwach ważniejszych, miałem szczęście zjednać sobie pokilkakroć pochwałę hetmana, nie potrzebowałem się też w żadnej potrzebie wstydzić mojej kompanii. Odpowiadała ona we wszystkim nadziejom Lubomirskiego, a przewyższała nawet moje oczekiwania.

Cieszyło mię wielce, że sami Polacy nie mogli odmówić waleczności memu korpusowi, lubo w ogóle o całym cudzoziemskim autoramencie z nie najpochlebniejszym odzywali się zdaniem.

Tymczasem wojna toczyła się dalej z coraz większym naciskiem. Zwycięztwa Czarnieckiego i Lubomirskiego złomały wreście bulę powstańczych kozaków i samego nawet Cara zniewoliły do pokoju.

Nim jeszcze zakończyła się stanowczo wojna, otrzymałem rozkaz udać się z moją kompanią do Warszawy, zkąd miałem się przesiedlić na stałe leże zimowe do któregoś z pobliskich miasteczek.

Aliści samemu mi ani przez myśl nie przyszło, jak krótko miałem już bawić w Polsce. Stanąwszy w Warszawie, dowiedziałem się od moich przyjaciół, Szkotów w służbie polskiej, iż baron d'Isola, poseł rzymskiego ce-

sarza, pod wielce korzystnemi warunkami zbiera ochotników pod sztandary austryackie do spodziewanej wojny z Turcyą.

Namowy przyjacioł i moje własne dawne sympatye zniewoliły mię ubiegać się o stopień w armii austryackiej.

Moi przyjaciele przedstawili mię posłowi, a zaraz na pierwszem u niego posłuchaniu porozumiałem się co do warunków przyszłej służby.

Baron d'Isola ofiarował mi godność rotmistrza i polecił zaciągnąć pod swoje rozkazy dwie kompanie ochotników, a za każdego pozyskanego żołnierza ofiarował mi 35 talarów nagrody.

Tak korzystne warunki podbiły mię zupełnie dla nowych choręgwi, i przygłuszyły wszelkie odzywające się jeszcze powątpiewania. Żal mi było wprawdzie Polaków, u których pierwszych dobiłem się zaszczytów, szczególniej zaś ubolewałem nad rozstaniem się z Lubomirskim, który w każdym osobliwsze wzbudzał do siebie przywiązanie, lecz wszystkie te uczucia milkły wobec świetnych nadziej, jakie mi się uśmiechały pod austryackiemi sztandarami.

Nie wahając się też długo, zawarłem stanowczą ugodę z baronem d'Isolą, a potem pospieszyłem do Lubomirskiego i zażądałem uwolnienia od dalszej służby.

Zacny pan zdziwił się niesłychanie, usłyszawszy z ust moich tak nagłe a tak już stanowcze postanowienie. Z początku próbował mię różnemi sposobami przytrzymać przy swojej choręgwi, widząc jednak iż trwam niepornszony w raz powziętym zamiarze, rzekł mi z zwyczajną sobie łagodnością:

— „Jeśli tak bardzo sprzykrzyła ci się już służba pod mojemi sztandarami, że żadne przedstawienie nie może cię zachwiać w wypowiedzianem mi przedsięwzięciu, tedyć zaiste trudno cię przytrzymać przemocą. Żegnaj więc z panem Bogiem."

Prosiłem go na to o pisemne uwolnienie od służby, aby mnie nie poczytano w czasie za dezertera.

— „Mniejsza o to" — odrzekł Lubomirski — „napisz je sobie waszmość sam, a ja ci podpiszę."

W półgodziny stawiłem się przed nim na nowo z pisemnem świadectwem uwolnienia w ręku.

Lubomirski odczytał je uważnie, kiwnął głową z przyzwoleniem, i przywoławszy swojego sekretarza Bystrzyckiego, kazał mi je przepisać na pargaminie.

Potem gdy już wziął pióro do podpisu, obrócił się jeszcze raz do mnie, i nie szczędząc słów i obietnic, starał się przełamać mój opór.

— „Pamiętaj waszmość, abyś tego nie żałował poźniej, co dziś tak zawzięcie odpychasz."

Ze łzami w oczach ucałowałem rękę szlachetnego dostojnika, tłumacząc się iż związany słowem honoru z posłem austryackim, nie mogę już cofnąć się od przyjętego zobowiązania, choćbym je miał poźniej życiem przepłacić.

Lubomirski pożegnał mię łaskawie, życząc jaknajświetniejszego powodzenia w obcych szeregach.

Uradowany niezmiernie otrzymanem uwolnieniem pisemnem, biegłem co tchu do barona d'Isola, aby się postawić pod jego rozkazy.

Niepodobnaby jednak opisać mego przerażenia, gdy baron z wielkiem zakłopotaniem wskazał mi świeżo otrzymaną depeszę z Wiednia, odwołującą najzupełniej dawniejszy nakaz zaciągów.

Przez pospiech nierozważny, z jakim pokwapiłem się zerwać dawny stosunek z Lubomirskim, osiadłem w ten sposób zupełnie na mieliźnie.

Nie mogłem zataić tego baronowi, i wystawiłem mu w kilku słowach moje przykre położenie po tak nieprzewidzianym zawodzie. Szlachetny poseł uspokoił mię zaraz jak najdobitniejszą obietnicą, iż sam zajmie się szczerze moim losem, a jeśli nie zdoła wyrobić mi nowego miejsca swoim wpływem, tedy w najgorszym razie ofiaruje mi tysiąc talarów wynagrodzenia.

Dotrzymał też rzeczywiście słowa jak przystało na tak znakomitego dygnitarza. W kilka dni przywołał mię do siebie, i rzekł mi że chciałby na moje ręce przesłać bardzo ważną depeszę Cesarzowi, swemu panu. Przy tej sposobności nie omieszka polecić mię najwymowniejszemi słowy, i bylebym sam jeszcze ustnie poparł moją sprawę, tedy najniezawodniej utrzymam się przy umówionym stopniu w armii austryackiej.

Wtedy jednak nie mogłem już korzystać z jego łaski. Przed dwoma dniami bowiem wszedłem w inną umowę.

Rosyjski poseł Zemieta Fedorowicz Leontieff, dowiedział się jakimś dziwnym przy-

padkiem o mojem położeniu, i umyślił zaciągnąć mię pod sztandary rosyjskie.

Przywoławszy mię do siebie za pośrednictwem jednego z moich przyjacioł, zrobił mi niezwyczajnie ponętną propozycyę. Zamawiał mię tylko na trzy lata do służby cesarskiej. W pierwszym roku miałem zajmować stopień majora, w dwóch następnych podpułkownika.

Otrzymawszy moje pozwolenie, naznaczył mi krótki czas do przysposobienia się do podróży a zaraz przy pierwszem widzeniu udzielił mi pieniędzy na podróż.

Z tegoto powodu nie mogłem już przyjąć zlecenia barona d'Isola, a w kilka dni opuściłem Polskę na zawsze.

* * *

Na tem kończy się ustęp pamiętników Gordona, obchodzący w wielu względach nasze dzieje ojczyste. Reszta obszernych pamiętników poźniejszego nauczyciela Piotra W. należy do historyi rosyjskiej, i nie ma dla nas bezpośredniego interesu.

CIENIE NAPOLEONA

czyli

DOTRZYMA NIEBOSZCZYK SŁOWA.

(Z pamiętników marszałka Marmont.)

Pochodząc z świetnego rodu, pewne były koleje mojej przyszłości: tylko z orężem w ręku czekały mię wawrzyny, dostałem się więc w zastępy egipskiej wyprawy, którą pod ów czas sposobił generał Bonaparte. Przy nim dostąpiłem stopnia porucznika, on przy nas, bohatyr wieku, stanął na pierwszym stopniu swej sławy; wróciłem z nim do Francyi, i patrzałem na miecz Karola Wielkiego jak przypasywał. Czułem w sobie niepohamowany zapał do dzieł wojennych, i właśnie gdy zostawszy majorem wszystko przyrządzam do nowej wyprawy, poznaję się z Maryą 17letnią córką generała Dufour. Postrzegłem oraz że i ja pannie nie byłem obojętny, zatem nie tracąc czasu zanoszę u stóp tronu pogromcy świata prośbę o zezwolenie na zaręczyny moje, nazajutrz otrzymuję nominacyę na pułkownika — i rozkaz iść do Hiszpanii. Co się we mnie działo, tego nie opowiem. Ucałowałem tylko serdecznie Maryę, i ruszyłem pod komendą Cesarza ku Pirenejom.

Na polu walki otrzymałem krzyż legii i majorat z łaską przyrzeczenia Napoleona, że mi wyprawi wesele zaraz po ukończeniu wojny. Byłto balsam na serce moje, bo wydawało sie że wojna niedługo potrwa; ale i w tem zawiodłem się, gdyż dopiero w 1813 wyruszyliśmy z Hiszpanii, a do tego w jakim stanie! ja przynajmniej nie w tym samym w jakim wkraczałem; trzy palce z lewej ręki zostały mi gdzieś w polu, a twarz marszami sponiewierana wcale nie wymłodniała. Jakże cię Marya przyjmie, pomyślałem w duszy, gdym wchodził z pułkiem moim w ulice Paryża; będzie też kochać jeszcze kalekę, jak niegdyś bojomira kochała? — Poczciwa dusza Maryi dowiodła całej zacności niewieściej, kochała mię i teraz równie z zapałem, a dodam, i z większą nieco nadzieją niż w r. 1808; bo stary hrabia Dufour w ciągu tych lat pięciu zeszedł ze świata, a 22-letnia Marya znaczny posiadła majątek.

Odtąd też nalegałem, a monarcha mój łaskaw wyrzekł przy sposobności: „Dobrze, jutro podpisuję ci kontrakt, pojutrze żeń się, po ślubie nazajutrz odchodzisz do armii w Niemczech.“ Nowy piorun, chciałem kapitulować, ale Cesarz powiedział: „Rzecz pierwsza powinność, miłość ostatnia; walecznego ramię potrzebne mi teraz.“ Musiałem uledz, przygotowałem co się dało na prędce na obchód weselny, potem pobiegłem do tuleryów ażeby kontrakt podpisać. Za poźno! Cesarza nie było, już wyjechał, a generał-major wsadził się ze mną do karety, i popędziliśmy za sztabem cesarskim. Ile cierpiałem nie jestem w stanie wyrazić. Co się dalej działo, cośmy na polach pod Bautzen i gdzie indziej zdziałali, nim nas nieszczęście pod Lipskiem spotkało, to wiadomo wszystkim i o tem nie piszę. Tyle wspomnę, że pod Montmirail dostało mi się pchnięcie w udo, które mię rok cały o szczudle trzymało, i po wszystkich wodach francnskich oprowadzało. Dopiero na schyłku stu dni mogłem stawić się Cesarzowi i ofiarować moje usługi. „Chodź, mój drogi, rzekł Cesarz, krótka będzie walka, jednym zamachem zetrzemy hydrę co pięknej Francyi zagraża. Pokój się zawrze, i na wawrzynach w objęciu Maryi bedziesz mógł potem spoczywać. Twój kontrakt będzie po zawarciu pokoju pierwszy dokument który podpiszę.

Ruszyliśmy pod Waterloo, ostatni mój-to marsz, ostatni; co ułańska pika wprzódy nadkłnła tylko, pod Waterloo angielska kula dorwała ze szczętem. Znowu choroba, znowu

wody, cierpienia, jedyną pociechę miałem w odwiedzinach Maryi; — wzór kobiet bo niezachwianej nigdy wierności, kochała mię szczerze. Teraz zamężcin naszemu nic na przeszkodzie nie było; lecz że gwiazda Napoleonowi zaszła, a Ludwik XVIII na tron wstąpił, nazbierało się czynności tyle, żeśmy musieli wesele nasze odłożyć do wiosny r. 1821; i już na serio Jego Królewska Mość raczył dać przyzwolenie, i co miał Napoleon, to Ludwik przyrzekł dokonać; wszystko się posprawiało, i wesele na dzień 6 maja postanowiliśmy.

Z południa dzień 5 maja nie był pogodny, jakaś posępność do samej nocy ciężyła na Paryżanach, coś im nie domagało, wszyscy siedzieli w domu, i król sam jakby niemocą zdjęty, niczem się zająć ani rozerwać nie mógł. Wpada mu na myśl przypatrzyć się koronie którą się Cesarz w Notre-Dame koronował. Przynieśli mu więc ze skarbcu koronę, opatrywał ją ciekawie, postawił potem na biórze gdzie leżały papiery królewskie, sam położył się i zasnął.

Nagle wstrzęsło królem nakształt elektryki, zrywa się, słyszy właśnie dobijającą godzinę północną na wieży w St. Germain l'Auxeroix; w tem roztwierają się przy jego łożu kotary, i przed nim staje człowiek z założonymi rękoma i w niego się wpatruje. Po chwili zwraca do stołu, ogląda koronę; na króla wystąpił zimny pot, gdy teraz rozpoznał rysy znane męża tego, co nosił wiadomy trójkątny kapelusik mały, zielony uniform i palone buty. Upior zwolna podnosi koronę, zasadza na głowę, postępuje krok przypatrzyć się w zwierciedle; król z trwogi oniemiał, i nim się opamiętał, upior siedział przy biórze, w ręku pióro a przed sobą miał papier rozłożony. Nagle wszystko spłonęło, król w osłupieniu do rana pozostał.

Nazajutrz król z nikim ani widzieć się nie chciał; ja przybywam do przedpokoju po kontrakt; chciano i mię odprawić, alem się oparł. Król dosłyszał naszego sporu, i wezwał mię. — „Podaj mi kontrakt, mówi, niech podpiszę, leży tam na papierach.“ Podaję papier, król bierze pióro do rąk, wtem mdleje, kamerdynery sadzają zemdlałego w łóżko, ja chwytam za kontrakt; o Nieba! Wszak kontrakt Cesarz podpisał.

Wrótce nadeszła do Paryża wiadomość, że Napoleon na wyspie Ś. Heleny umarł wieczór d. 5 maja 1821 roku.

To opowiada marszałek Marmont.

CNOTA.

...Ale, może radzibyście wiedzieć „Cnota na jaki użytek służy?“ pytacie jak wróble Węgierskiego. Na jaki? niech wam komedya odpowie: najprzód, abyś był człekiem uczciwym, a to rzecz arcy ważna zwłaszcza w tych czasach kiedy uczciwość tak rzadka i nie zgorzej popłaca; na jaki? oto ażeby mieć po sobie ludzi szlachetnych i zacnych, i z nimi pospłaszać łotrów; na jaki? ażeby chłostać hipokrytę, zausznika, łgarza, zwodziciela, dumę, przewrotność, rozpustę. Cnota dodaje poezyi wdzięku, któremu wszystko ulegnie, a talentom powabu. Więc nie pytajcie na jaki użytek cnota, raczej pomyślcie gdzieby cnota nie posłużyła; a jeżeli gdzie nie przysłuża, jeżeli gdzie odstręcza i razi, pewnie ten co się pod nią podszywał, jest łotrem, a czynności jego zbrodnią. Na jaki użytek cnota!?.. Proszę! A czem-że by był świętoszek gdyby z niej płaszcza nie pożyczał! czem zwodziciel gdyby się jej wdziękiem nie mizdrzył.

Dzieło Dominikana Fray Franciszka Ximenes.

Wiedeńska akademia cesarska wydała dzieło Dominikana Fray Franciszka Ximenes, proboszcza w pierwszych początkach ośmnastego wieku na wyspie Guatemali, we wsi indyjskiej Chielicastenango. Dzieło to pod tytułem: „*Las historias del origen de los Indios de esta provincia de Guatemala*“ zawiera wszystko co Indyanie przechowali w tradycyach z dawnych początków rodu swego, ich prawa, ustawy i zwyczaje, ich wyznania religijne, i daje dokładniejszą znajomość języków szczepu Cachiqnel, Quiché i Yuhitil, języków dziś wygasłych, ale wielce wykształconych. — Ciekawszem będzie dla nas co ich tradycya mówi o stworzeniu Świata.

Był jeden bóg Cucumaz najwyższy, a pod nim górne i dolne bóstwa co z sobą walki staczały. Starszy bóg wyrzekł słowo, a powstał świat i zwierzęta; ale z człowiekiem nie udało mu się; ród ludzki był niegodziwy, musiał go wytopić, i drugi stworzyć. Ale i drugi był niepoprawny, więc go wygładził smołą i ogniem. Dopiero trzeci ród ludzki nadał się, a to iż go nie lepił z ziemi ale z białej i żółtej kukurudzy (mais). Ulepił

na początek tylko czterech mężczyzn: Balam Quitze, Balam-Acab'a, Mahucutah'a i Quibalam'a; a tak mu się doskonali udali że na radzie bogów stanęło, iż należało im ująć troszkę doskonałości, gdyżby bogów przyćmili; więc zapuścili im oczy jak mówią „blachmanem" a to przyćmiło także ich zdolności. Do tych czworga ludzi, dolepił Kukumac w nocy, cztery piękne kobiety; Caha palumę, Chomihę, Cununihę i Caquixahę — z tych stadeł czworga rozrodziło się całe ludzkie plemię.

Ale pod ów czas ziemia była jeszcze wilgotna i posępna, bo słońce nie było zeszło; ludzie chodzili po omacku, i dobłąkali się do lasu Tulanzu, gdzie siedm jaskiń i siedm przepaści; tu narobili sobie bałwanów, i rozeszli się po całym świecie, a słońca jeszcze nie było; tylko że języki im się poplątały. Pierwsza z najdawniejszych familii, przybyła w podróżach swoich raz na górę Hacabisz, i gdy osiadła pokazała im się jutrzenka; z uciechy zaczęli tańczyć i palić ofiary; wnet wystąpiło słońce, a cała ziemia się roześmiała. Nim słońce zeszło, ludzie byli drobni i małego wzrostu, ale pod wpływem tej gwiazdy niebieskiej nabrali mocy i podrośli jak są dzisiaj.

Przywilej Chrześcian malajskich. Nikt by u nas nie myślał jakiego prawa nabywa na południowych wyspach Moluckiego archipelagu ten, co się zezwoli ochrzcić. Ochrzczonemu wolno wdziewać honorową suknię malajską kabaję, kaine, wolno mu stroić się w suknie krojem europejskim. Jeszcze by z tem mniejsza; trochę próżności, trochę zaszczytu, nie wadzi przy cnocie chrześciańskiej. Ale na Molukkach kto przywdzieje suknie europejską, ten żeby go piekło nie będzie nic robić. Wiadomo, jak skwarne jest słońce w tej strefie południowej, i że w południe bez parasola trudno się obejść; otóż Malaja ochrzczony woli niech go słońce piecze, a sam sobie peyongu nad sobą nie rozepnie, ani poniesie bo on chrześcianin; na to jest niewolnik póki się nie ochrzcił. Jakie ztąd dalsze następstwa, wiedzą doskonale Holendrzy, i może z umysłu ten przesąd utrzymują, by znikczemnić Malajów. Pracą jest uczyć się; więc ochrzczony, niech sie nie uczy. Pracą jest czujność, zapobiegliwość i gospodarstwo; ochrzczony porucza i to niewolnikom. A że bez tych cnot Malajom źle idzie, to Holendra nie obchodzi, owszem rad temu że spodlony krajowiec wody mu nie zamąca.

Tanie okna podwójne. Kto chce oszczędzić opału i mieć w zimie ciepłe pomieszkanie, radzi Dr. St. w dzienniku „Neuste Erfindungen" zaopatrywać pomieszkania w tak zwane okna dwuszybowe, to jest o jednej ramie a podwójnych szybach w odstępie najwięcej 2 do 4 linii. Dotychczasowe podwójne okna, powiada Dr. St., są drogie, ujmują światła licznemi ramami i zabierają zbyt wiele miejsca; właściwem zaś przeznaczeniem ich jest, prócz dostarczania światła w mieszkaniu, formować warstwę powietrza trzymającego ciepło; warstwa ta bywa zwykle 6 do 8 cali szeroka, a tego niepotrzeba wcale, gdyż szkło samo jest dość trudnym przewodnikiem ciepła. Dlatego korzystniej będzie zamknąć powietrze dwoma szybami w jednych ramach, w odstępie kilku linii tylko, to jest urządzać okna dwuszybowe zamiast podwójnych. Do takich okien potrzeba wprowadzić ram nieco silniejszych, ale mimo to uzyska się więcej światła i miejsca, gospodarze oszczędzą niemało wydatku, a co najciekawsza przytem, że okna takie niezamarzają w zimie.

Sukno skórzane. Weszło teraz z Ameryki i Angli w handel sukno skórzane, nowy rodzaj wyrobu bawełnianego ze lnem. Strona od lica wygląda zupełnie jak safian, i ma jakąś powłokę chemiczną której nierażą ani gorąca woda, ani kwasy, ani sole, spirytusy ani eteryczne olejki. Materya jest całe giętka, trwała, nie ściera się i nie drze. Służyć może na pokrowce, oprawę książek, obicia sprzętów, nawet próbowano z niej obuwie i bardzo się nadała. W Lipsku kosztuje łokieć takiej materyi 1 złr., a ma dwa łokcie szerokości.

Wstążkę lila odświeżyć. Mało z których kolorów tyle w modzie co lila, szkoda tylko że prędko blakuje. Ale mamy sekret, za który ręczymy, że i przenoszona wstążka lila będzie jak nowa wyglądać; a sposób bardzo łatwy, wydamy go modniarkom na przekor. „W ciepłej wodzie (rzeczna najlepsza) roztworzyć troszkę sody; gdy się soda dobrze roztworzy a woda ostygnie, wtedy namoczyć w niej wstążkę i wypłukać dobrze; po wypłukaniu na mokro wyprasować.

Światło księżyca szkodliwe. Mają zwyczaj niektóre gospodynie wieszać mięso na noc na świeże powietrze; to bardzo dobrze, ale radzimy ażeby światło księżyca na nie nie padało. Światło księżyca ma to samo do siebie co światło słoneczne, że rozrabia soki, i mięso się psuje i cuchnie.

Koncercistów przemysł. Jeden przemysł rodzi dziesięć Jeden z nie mniejszych który koleje żelazne stworzyły, jest przemysł koncercistów popisywania się sztuką swoją jednego dnia w dwóch, trzech miejscach w Anglii, co jest bardzo łatwo, bo miasta gęste, a kolej pędzi bez pamięci. Tym sposobem wyprawił pianista Döhler w r. 1844 w przeciągu 23 dni, trzydzieści i pięć koncertów; przed południem 11 października grał w Southampton, po południu w Portsmouth; przed południem w Bolton, po południu w Manchester, i tym sposobem dalej. Dziś zgodził się tenor berliński „von der Osten" i zobowiązał że w wrześniu i październiku objeżdżać będzie przez sześć tygodni Anglię, i co wieczór, wyjąwszy niedziele, wystąpi ze śpiewem coraz w innem miejscu na korzyść przedsiębiorcy który go opłacił.

Dobre-ć słońce, dobre, ale księżyc lepszy, przecie w nocy świeci kiedy wszystko ciemno; a słońce w dzień — nie sztuka kiedy się widać.

Nie lubi człowiek pamiętać uczynku, którego sam nie jest zdolen; zapomina o nim dla swej spokojności.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*